

# Zmiana dekoracji

**Czy jesteśmy w stanie naprawdę poznać partnera, który mówi w innym języku?**

**Czy mówiąc w różnych językach, rzeczywiście stajemy się inni, czy po prostu przypominamy wytrawnych aktorów?**

**Ile trudu trzeba, by dać się wzruszyć lub rozśmieszyć w obcym języku?**

W teledysku do piosenki *Enjoy the Silence* zespołu Depeche Mode wokalista Dave Gahan, przebrany za króla, z leżakiem pod pachą przemierza wzgórze i równinę, ani trochę nie przejmując się zmieniającymi się warunkami atmosferycznymi. W trakcie wędrówki od czasu do czasu siada w swoim leżaku i napawając się widokami, śpiewa o tym, że cisza jest wspaniała, słowa są niepotrzebne i nic dobrego z nich nie wynika. Wypaleni pracownicy korporacji zapewne zgodziliby się z tym, że beztronski spacer *à la* Dave Gahan, z koroną na głowie, może mieć działanie terapeutyczne. Zawierzenie słowom artysty to jednak pewne ryzyko. Słowa bowiem są potrzebne i nawet jeśli według króla Gahana niekiedy wyrządzają krzywdę, to ich brak lub niewłaściwy dobór może spowodować

wać jeszcze większe szkody, zwłaszcza podczas misji o kryptonimie „poznawanie drugiego człowieka”.

Jeśli językiem ojczystym drugiego człowieka jest język inny niż nasz, kwestia tego, co i jak się mówi, staje się znacznie istotniejsza, niż wynika to z piosenki Depeche Mode. W kontakcie z obcokrajowcem osoby swobodnie władające językiem obcym mówią dużo i chętnie. I tak jednak napotykają przy tym przeszkody, o których wspominają tylko nauczyciele o mocno filozoficznych zapędach. Kilkanaście certyfikatów językowych w szufladzie, każdy egzamin zdany z fanfarami i konfetti spadającym z sufitu, a nagle okazuje się, że żaden TOEFL nie pomoże nam w stu procentach oddać w języku obcym ani naszej inteligencji, ani poczucia humoru, ani osobowości. Błyskotliwe żarty, cięte riposty, spontanicznie tworzone gry słowne – wszystko to nagle zanika lub blednie w rozmowach prowadzonych w języku drugim, i to nawet dobrze opanowanym. Potencjalnie ciekawe i złożone wywody nagle zmieniają się w rzeczowe i skupione na przekazie komunikaty albo... w całkiem inną rozmowę niż ta, którą prowadzilibyśmy w języku ojczystym.

Język drugi przypomina kelnera w restauracji. I to dość krnąbrnego. W przypadku kompletnej językowej niemocy jest on kelnerem, który, choć przywoływany do stolika, nie przychodzi, skazując nas na wpatrywanie się w pusty talerz i chwytywanie okruchów rzucanych przez rozmówcę – bierne poddawanie się biegowi rozmowy, gdy potrafimy powiedzieć niewiele więcej niż „Tak, masz rację”. Gdy nasz komunikacyjny repertuar okazuje się ubogi, język-kelner, owszem, podchodzi do stolika i przyjmuje zamówienie, ale i tak realizuje je po swojemu, przynosząc tylko to, co jest w stanie przynieść: albo dużo mniej, niżbyśmy chcieli, albo coś zupełnie innego.

Świadomi potencjalnych problemów, możemy z dużym podziwem lub lekkim niedowierzaniem przyglądać się parom różnojęzycznym i ich próbom poznania się za pomocą rozmowy, pełnym ufności w ostateczny triumf ducha nad leksykonem. Gdy żadne z nich nie mówi płynnie w języku, którego używa, by się porozumieć, duch istotnie jest jedyną nadzieją. To, co mówimy i jak mówimy, przekazuje prawdę o nas. Czy ta prawda jest jednak w stanie wyłonić się z rozmowy prowadzonej w języku, który nas ogranicza?

### **Mówię za słabo, by pokazać, jaka jestem interesująca!**

Po jednej twarzy na każdy język - to pociągająca koncepcja dla każdego, kto lubi kamuflaż albo ma w sobie coś z niespełnionego aktora. Kto czuje, że jego obecne wcielenie go ogranicza, a nie wystarcza mu brawury, by niczym David Bowie stworzyć sobie kosmiczne alter ego, może po prostu zanurzyć się w nowy język.

Znana w Stanach Zjednoczonych terapeutka Priska Imberti, emigrantka z Argentyny, doświadczyła takiego właśnie przeobrażenia. Okazało się, że wraz z językiem zmieniło się jej spojrzenie na świat. Imberti, na co dzień wysłuchująca cudzych bólączek i interpretująca je, przekonuje nas, że „chcąc skutecznie porozumiewać się w języku niewypływającym z naszego «ja» czy z głębi naszego jestestwa, w języku, który nie odzwierciedla naszego związku z kulturą, którą reprezentuje, musimy stać się nowymi ludźmi”<sup>1</sup>.

Nie ma lepszego sposobu na zademonstrowanie własnego dziedzictwa kulturowego niż posłużenie się językiem. Wycinanki łowickie czy mistrzostwa w lepieniu pierogów pewnie też mogą się przydać, ale niekoniecznie pomagają w formuło-

waniu poglądów i przekonań. Język przekazuje najważniejsze elementy tego, co wynieśliśmy z rodzimej rzeczywistości. Całe szczęście. Umiejętność przekazywania wyłącznie jednoznacznych komunikatów w rodzaju „Nie zamawiaj mi pizzy z salami” i „Co roku jeżdżę nurkować do Egiptu”, nie czyniłaby ludzkiego daru języka nawet w połowie tak interesującym. I tak demaskującym. Język wyraża naszą osobowość i sposób bycia, które są zakodowane właśnie w tym, jak się wypowiadamy, jakich używamy słów, w subtelnościach, także w stężeniu przekleństw, błędów czy niechlujstwie. Bariera językowa potrafi zablokować przepływ nawet prostych komunikatów, a co dopiero wymagających intelektualnie dyskusji, dowcipów czy ripost. Język drugi używany przez osoby nie do końca osadzone w rzeczywistości, którą ten język tworzy, ukazuje zaledwie wersję demo ich osobowości. Wydaje się, że ta pełna - wielowymiarowa i wyrosła na gruncie języka ojczystego - wersja czai się gdzieś za fasadą słów.

Psychologowie prawdopodobnie złapałiby się za głowy, gdyby im zasugerować, że dwujęzyczność wpływa na osobowość. Według nich zdecydowanie nie przypomina ona smakowicie pachnącej ciastoliny sprzedawanej w plastikowych kubeczkach, z której wedle uznania - i wedle języka - ulepić można zarówno natchnionego spokojem melancholika, jak i wiecznie pobudzonego choleryka. Osobowość jest tworem stabilnym, złożonym ze względnie trwałych cech, nie podlega językowej kreacji. Prowadzone przez psycholingwistów badania analizujące językowe zachowania pojedynczych osób potwierdzają jednak fascynujące zjawisko: jest nim współistnienie dwóch sposobów bycia w jednej, dwujęzycznej, a ponoć przecież zintegrowanej, istocie ludzkiej.

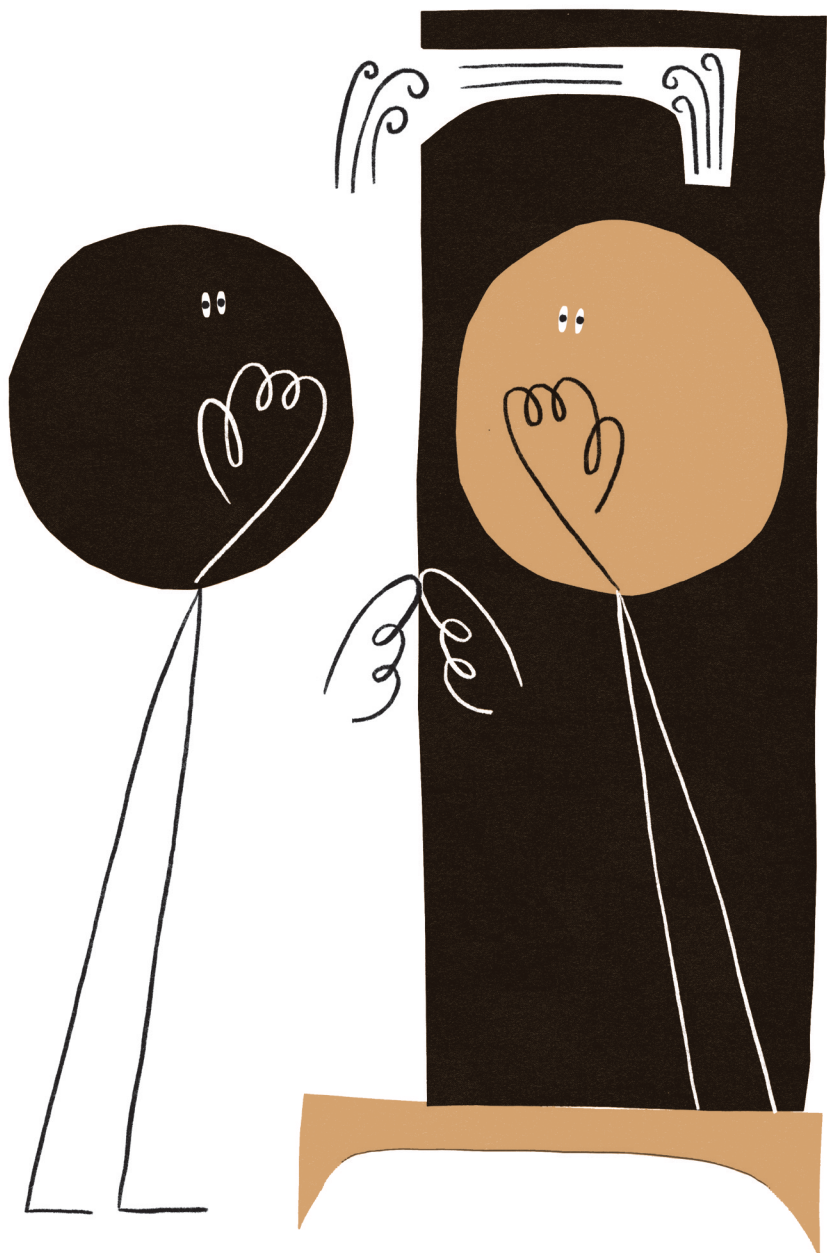
Kto sam włada dwoma językami, ten i bez badań jest w stanie zauważyć, że w języku drugim, choćby doskonale opanowanym, mówi po prostu inaczej. Często posługujemy się nim z mniejszą elastycznością, brzmimy mniej nonszalancko. Jesteśmy skupieni na regułach gramatycznych i doborze właściwego słownictwa. Związani gorsetem poprawności językowej, nie zawsze pozwalamy sobie na spontaniczność, którą daje nam język ojczysty. W trakcie niezobowiązującej kolacji ze znajomymi z zagranicy aż chce się popisać humorem i ciętą ripostą. Tymczasem, jeśli nasz język drugi nie należy do najlepszych kelnerów, najczęściej kończy się na wzięciu głębokiego wdechu. Zanim mentalna wyszukiwarka podświetli słowo bądź frazę idealnie pasującą do spuentowania wypowiedzi rozmówcy, ten będzie już trzy tematy dalej. Leżysz potem w łóżku, nie mogąc zasnąć, bo wciąż rozmyślasz o tym, jak pięknie mogłeś skontrolować wypowiedź kogoś, kto wymądrzał się na temat czegoś, na czym akurat doskonale się znasz. On trajkocze jak szalony, a ty, marszcząc czoło i przebijając nogami, wysilasz wszystkie zwoje, myśląc, jak powiedzieć, że gada od rzeczy. A gdy już otworzysz usta, stwierdza, że musi już iść - nieświadomy, że oblicze zacukanego misia to ani twoje jedyne, ani reprezentacyjne oblicze.

### **Gdy dźwignia skrzypi – zawstydzeni tym, kim jesteśmy w obcym języku**

Każdy z opanowanych lepiej czy gorzej języków odsłania naszą inną twarz. W badaniu przeprowadzonym przez Michèle Koven<sup>2</sup> na osobach dwujęzycznych jedna z uczestniczek, Linda, przyznała, że używając ojczystego portugalskiego, ukazuje osobowość ukształtowaną w domu rodzin-

nym. Linda w „wersji domowej” jest powściągliwa, niemal nie używa przekleństw i nie pozwala sobie na rubaszne żarty. Chodząca reklama przyzwoitości i opanowania, postawy lansowanej przez konserwatywną rodzinę. Przełączenie na język drugi, w jej przypadku francuski, sprawia jednak, że grzeczna i opanowana Linda ukazuje zupełnie inne oblicze. Używając francuskiego, języka poznanego z dala od bogobojnego domu i wykorzystywanego w kontaktach z rówieśnikami, pozwala sobie na swobodne wyrażanie emocji, okazjonalne przekleństwa i dwuznaczne żarty. Badacze nadają językowi drugiemu szczególny status: *language of detachment*. To język oderwania, taki, którego ładunku emocjonalnego nie odczuwa się tak bardzo jak w przypadku języka ojczystego. Linda chętniej klnie i nie unika sprośności po francusku, bo ten język nie wydaje jej się tak przytłaczający i dosłowny jak portugalski, i nie uderza jej swą brzydotą czy niestosownością.

W przypadku uczestniczki badania Anety Pavlenko<sup>3</sup> – Rebekki, Brytyjki, która poza angielskim włada także francuskim i walijskim – rzecz wygląda odwrotnie, ale nie mniej interesująco: „Kiedy mówię po francusku [drugi język Rebekki, przyp. aut.], jestem miłsza, spokojniejsza i poważniejsza; kiedy mówię po angielsku [język ojczysty Rebekki, przyp. aut.], jestem bardziej wulgarna i częściej używam slangu” – zapewne wskutek większego oswojenia z rodzimą ulicą i jej nieparlamentarnymi odzywkami. Wydaje się, że przypadek Rebekki potwierdza teorię, że milczenie niekoniecznie świadczy o tym, co inni mogą podejrzewać. Otwarcie przyznaje ona, że gdy posługuje się najsłabiej przez siebie opanowanym językiem – walijskim – praktycznie nie ma osobowości: „No, może jedynie zgadzam się ze wszystkimi wokół, bo





łatwiej się ze wszystkim zgadzać niż być zmuszoną samodzielnie formułować swoje poglądy!”<sup>4</sup>.

Co więc pomyślała sobie Holenderka, której ubłocony od pyska po ogon labrador skoczył na mnie radośnie na środku amsterdamskiej ulicy, dekorując mój świeżo uprany płaszcz brązowymi cętkami? Kobieta to przepraszała mnie, to karmiła ubłoconego zwierzaka, to znów pomagała mi doprowadzić się do ładu. W uszach brzęczał mi jej niderlandzki, podobno mój język czwarty, ja zaś słyszałam głównie głośne skrzywienie dźwigni z napisem „niderlandzki”, języka ponoć zainstalowanego w mojej głowie. „No powiedz coś” – szeptał umysł, uruchamiając z mozołem mój czwarty język. „Najlepiej powiedz, co myślisz, powiedz, że jesteś wściekła, bo nie masz się w co przebrać, boisz się tego szalonego psa i chce ci się wyć”. Ale nie. Na to czwarty język nie pozwolił, był zbyt słabiutki i za długo się uruchamiał. Mogłam co prawda szybko zasłonić się rwącym się do boju, zawsze gotowym angielskim, chciałam jednak zachować resztki honoru, w końcu nie po to uczyłam się niderlandzkiego przez trzy lata, żeby teraz jak ostatni tchórz wycofać się do angielskiego! Skrzywienie w głowie nasila się, dźwignia uruchomiona. „Nic się nie stało” – sylabizuję po niderlandzku, wściekła na siebie, że tylko na takie wyznanie mnie stać. Właścicielka szalonego labradora była zbyt przejęta aferą, by oceniać moje językowe popisy; gdyby to zrobiła, doszłaby pewnie do wniosku, że jestem wcieleniem albo zen, albo otepienia. Osobę zakneblowaną przez językową niemoc łatwo uznać za kogoś, kto nie ma nic do powiedzenia, mimo że już w innej językowej dekoracji może się okazać kimś elokwentnym, o bogatej osobowości. A jakiej dokładnie – to właśnie zdradza używany język. Pytanie tylko, który z nich pokazuje to najprawdziwsze oblicze.